

Roman Kubicki
Uniwersytet im Adama Mickiewicza w Poznaniu
ORCID: 0000-0001-5446-8336

Nieskromna wielkość serca. Wprowadzenie do antyteorii kultury św. Franciszka z Asyżu

Wstęp

Dramatem teorii kultury jest to, że i teoria kultury, i dramat tej teorii są częścią kultury. I teoria kultury, i dramat tej teorii skazane są zatem na wieczne roztrząsanie paradoksu barona Münchhausena, który próbując wydostać się z jaskini własnej prywatności na powierzchnię społecznego życia, ciągnie się za własne włosy. Bohaterem tego eseju nie jest jednak teoretyk kultury, lecz jej zdecydowany antyteoretyk, któremu wydaje się, że ufa życiu, a nie namysłowi nad nim. Antyteoria kultury też jest, oczywiście, częścią kultury. Dlatego bohatera mojego eseju nie znajduję w jego świecie, lecz jedynie na scenie jego życia.

Na scenie wyobraźni chrześcijańskiej grali i grają bardzo różni aktorzy: drugoplanowi, pierwszoplanowi i — wreszcie — aktorzy wielcy. Przejawem wielkości aktora grającego na scenie wiary jest konsekwentne odrzucanie stereotypów i przyzwyczajęń, obowiązujących na scenie życia społecznego, prywatnego i intymnego. Święci, którzy tworzyli swoim życiem ponadludzki wymiar porządku serca, są awersem ludzkiego losu, którego rewersem są geniusze grający swe role na scenie ludzkiego rozumu. Kopernik miał odwagę zdradzić zdroworozsądkową oczywistość, że to Słońce krąży zawsze i wszędzie dookoła Ziemi; Newton natomiast nie wahał się obśmiać przekonania zdrowego rozsądku, zgodnie z którym prędkość spadającego ciała zależy zawsze i wszędzie nade wszystko od jego masy. Gdzieś tam jeszcze trzeba ulokować wielkich artystów, wielkich poetów, wielkich pisarzy, wielkich humanistów, wśród nich — także wielkich filozofów. Najpewniej wszyscy oni szukają wciąż miejsca dla siebie pomiędzy awersem a rewersem losu. Jednym z nich wygodniej na scenie pierwszego, innym — drugiego. Nie o nich jednak jest ta filozoficzna opowieść. Jej bohaterem jest święty Franciszek z Asyżu,

jeden z wielkich aktorów, a być może nawet — wedle mojej skromnej opinii — aktor największy na scenie chrześcijańskiej wiary. Choć ewidentnie człowiek nieludzki i ponadludzki, zatem nadczłowiek, w przeciwieństwie do swojego nietzscheańskiego potomka, nieskażony oszałamiającym poczuciem dumy i wolny od skrzydeł miłości własnej. Przeciwnie, podobnie jak większość współczesnych mu ludzi, żył w świecie nasyconym ideologią wpływającą ze źródła, którym było hasło *Deus vult* — *Bóg tak chce*. Źródłem było oczywiście więcej, ale *Deus vult* było niewątpliwie źródłem najbardziej życiodajnym oraz przy okazji — najbardziej śmiertodajnym. Hasło nie tylko było bowiem światłem w życiu wielu ludzi, lecz także — zwłaszcza jako światło jedyne — skutecznie ich antagonizowało, ponieważ każdy z nich w swym własnym mniemaniu posiadał w granicach swego Kościoła monopol na reprezentowanie Boskiego chcenia.

Jeśli wierzyć historykom, okrzyk *Deus vult* (*Bóg tak chce*) jest odpowiedzią eremity Piotra z Amiens na wezwanie do krucjaty, wygłoszone przez papieża Urbana II w listopadzie 1095 r. na Synodzie w Clermont. Jest on uważany za hasło przewodnie pierwszej krucjaty. „Bóg tak chce!” jest tytułem pierwszego tomu powieściowego cyklu *Krzyżowcy* Zofii Kossak-Szczuckiej. Akcja ostatniego tomu sagi dzieje się przeszło sto lat później. W 1212 roku wyzwolenie Grobu Chrystusa z rąk Saracenów staje się celem dwóch tzw. krucjat dziecięcych, w których jedyną bronią ma być niewinna wielkość duchowa ich uczestników. Zarówno te krucjaty, jak i towarzysząca im krucjata zdecydowanie pełnoletnich, a więc niekoniecznie duchowo niewinnych, rycerzy kończą się klęską. Ostatni tom cyklu nosi tytuł *Bez oręża*. Jego bohaterem jest wspomniany już św. Franciszek z Asyżu, który — podobnie jak jego antenaci sprzed wieku — nie ma wątpliwości, że żyje w świecie przepelnionym Bożą wszechobecnością i wszechmocą.

Nie żyję na scenie wiary Franciszka, nie umiałbym na niej żyć, ale zarazem wydaje mi się, że coś tracę, bo właśnie tak jest, że nie potrafię na niej żyć. Ja (zawsze jest to ja, w którego świetle można zobaczyć tylko większe JA) — przeciwnie — mam w tej kwestii same wątpliwości, a właściwie pewność, że jest dokładnie inaczej. Dlatego nie będę tylko prezentował i analizował poglądów Świętego. Nie chcę bowiem przypadkowo ich zranić ani tym bardziej — okaleczyć. Chcę nade wszystko oddać głos Franciszkowi, przełożony na język polski przez Zofię Kossak. Arbitralnie zakładam, że jest to przekład zarówno piękny, jak i wierny. Dlatego przywołam kilka scen z jej książki, na których głos Franciszka brzmi niezwykle doniośle.

Poznajemy Franciszka — także ontologicznie

Lubię przywitać się pierwszy raz z Franciszkiem, kiedy przyszły święty przygląda się swoim śpiącym współbraciom:

Nareszcie ostatni, serdecznie miły, ukochany brat Jałowiec. [...] Przepelnia go szczęśliwa radość z tego, że jest, że żyje, że może Boga miłować i chwalić. Nie lęka się grzechu ni czarta, bo Bóg go przed nimi osłoni. Nie boi się w ogóle niczego. Przecież Bóg nad nim czuwa..

Brat Jałowiec niczego się nie lęka, ponieważ Bóg jest blisko i roztacza nad nim nieustanną opiekę. Czy to oznacza, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo? Że, w szczególności, nie dopadnie go jakaś choroba lub śmierć nawet? Nie o takie bezpieczeństwo chodzi Franciszkowi. Kilka miesięcy później przybliży sułtanowi al-Kamilowi istotę swego zaufania do Boga. Franciszek próbuje nawrócić sułtana na chrześcijaństwo. Władca odpowiada:

— Przyjąć chrześcijaństwo? — pyta przeciągle. — Ja doradzę coś lepszego: wy przyjmijcie islam, złożcie pokłon Prorokowi, a wojna się skończy również. Z kolei Franciszek wybucha serdecznym śmiechem. — Jakże by to mogło być, panie sułtanie, skoro nasza wiara jest prawdziwa, a wasza nie? [...] — Więc twoja wiara ma być prawdziwa, moja nie. Jakże mi tego dowiedziesz? Nie mogę odstąpić wiary ojców na zapewnienie lada jakiego przybłądy, co samojeden wymknął się z obozu! To prawda. Franciszek uznaje słuszność tej uwagi. Trudno, by sułtan wierzył mu na słowo. — Iście, najlichszym, najnędzniejszym sługą Pana naszego. Przecie moc Jego tak wielka, że nawet przez równie marne jak ja narzędzie wspaniałość swoją, jeśli zechce, okazać potrafi... — Niechże okazuje. Czekam. Sułtan wyciągnął się wygodnie na poduszkach. Czuł się szczerze rozweselony. Przednia zabawa z tym szarakiem! — Cóż mi twój Pan okaże? — powtórzył. — Nasz Pan może uczynić wszystko, co zechce. Może sprawić, że ziemia rozstąpi się pod naszymi nogami lub niebo upadnie na głowy. Możesz, sułtanie, kazać rozpalic tu wielki ogień i wrzucic mnie weń, a On, jeśli zechce, sprawi, że wyjdę bez szwanku... — Na Allacha! — rzekł sułtan przymrużając oczy. — Przychodzi mi ochota to uczynić... — Uczynź zatem. — Nie boisz się? — Nie boję się, bo Pan mój jest nade mną i nic mnie nie spotka, czego by mi nie przeznaczył i na co bym nie zasłużył, a co przeznaczy, dostosuje do mych sił... Nie boję się, lecz proszę, dostojny sułtanie, i tak będzie sprawiedliwie, niech ze mną wejdzie jeden z twoich ludzi. I niech ten spłonie, którego wiara jest błędna, a niech ten wyjdzie, którego wiara jest dobra! Sułtan obrócił się do otoczenia. — Ten derwisz mnie zaciekawia. Powiada, że gotów wejść w ogień razem z jednym z nas i potykać się w ten sposób, która wiara lepsza. To mogłoby być zabawne... Nuże! Kto z was podejmie wyzwanie.

Wśród najbliższego otoczenia władcy, ludzi bogatych i wpływowych, nie ma jednak nikogo, kto byłby gotów wejść w ogień razem z Franciszkiem. Dlatego sułtan nakazuje przyprowadzić jakiegoś derwisza. Ostrzega Franciszka:

— Derwisze za chwilę przyjdą. Nie wolno ci się już cofnąć. — Nie cofnę się. Będę szczęśliwy, jeżeli podobna próba przekona cię, panie sułtanie. — Możesz spłonać. — Mogę. To będzie znaczyło, że Pan nasz chce cię oświecić w inny sposób, bez mojego mizernego pośrednictwa. — Życia przez to nie

odzyskasz. — Pan nasz w swoim miłosierdziu da mi życie wieczne, bo dla Jego chwały zginę. — Niemiło będzie przedtem skręcać się w płomieniach, co? — Pan nasz gorzej za nas cierpiał. Pocierpię i ja dla Niego.

W świecie wiary Franciszka nie ma miejsca na fakty, które mogłyby uczynić ją niewiarygodną: jeśli mają czelność kłamać wierze, tym gorzej dla nich. Dlatego święty jest gotów dawać świadectwo swej miłości do Boga zarówno swoim życiem, jak i swoją śmiercią. Na scenie wiary Franciszka Bóg daje mu życie także wtedy, gdy godzi się na jego śmierć. Jest tak, ponieważ w przeciwieństwie do ludzi, którzy w B o g a tylko w i e r z ą, Franciszek ponadto B o g u wszędzie i zawsze w i e r z y. Wierzyć w Boga to nie to samo, co wierzyć Bogu. Zwłaszcza język polski jest życzliwy tej prawdzie: w i e r z y ć Bogu, to znaczy mieć zawsze i wszędzie odwagę, chęć i pragnienie p o w i e r z y ć Bogu swoje życie. Ci, którzy w Boga jedynie wierzą, często proszą Go, by choć na chwilę raczył o nich zapomnieć i przestał wtrącać się w ich życie. Przypomnę piękny fragment z filmu *Tragedia Posejzona* (1972), w którym pastor Frank Scott, grany przez Gene'a Hackmana, zwraca się do Boga tymi słowami:

Co jeszcze wymyślisz? Dotarliśmy tu bez Twojej pomocy. Sami sobie radzimy. Nie proszę Cię, żebyś razem z nami walczył! Ale przynajmniej nam nie przeszkadzaj! Ile jeszcze wymagasz poświęceń? Ile krwi? Ilu istnień?... Chcesz jeszcze? To weź sobie mnie!

Na scenie wiary Franciszka zagranie takiej r o z m o w y nie byłoby możliwe. Nie potrafiłby zrozumieć tej sceny. Franciszek nie zna bowiem tych dylematów. Powtarzałby konsekwentnie — za św. Augustynem, najpewniej bezwiednie: ponieważ Bóg mnie kocha, może robić ze mną, co chce. Tylko Bóg kocha Franciszka, jedynie Bóg wie, co jest dla Franciszka dobre, bo go do Boga przybliża; także tylko Bóg wie, co jest dla Franciszka złe, bo go od Boga oddala. Dlatego Franciszek nie boi się żadnych wyroków życia.

Na scenie wiary Franciszka nie ma w szczególności miejsca na martwienie się o przyszłość:

— Ależ dzisiaj nie dojdziemy! — wykrzyknął Jan Kapelusznik. — Z pewnością nie. Przenocujemy przy drodze jak tym razem. — A co będziemy jedli jutro? — Co nam Bóg zesła. — Bo jeśli znowu trzeba będzie tracić więcej niż pół dnia, żeby zarobić na strawę, to nigdy nie dojdziemy... — A jakże byś chciał inaczej? — Myślałem... myślałem, żeby brat Masseo poprosił o więcej, żeby starczyło na dwa dni... Franciszek potrząsnął gniewnie głową. — Żadnych zapasów — uciął. — Jeśli na dwa dni, to czemu nie na tydzień, a jeśli na tydzień, to czemu nie na miesiąc, a może nawet na rok? Jeszcze byłoby wygodniej!... Nie mówmy o tym więcej, tylko ruszajmy weselać się w Panu... — Z czego mamy się weselić? — bąknął Jan Kapelusznik urażony. — Choćby z tego, że żyjemy, że słońce świeci, niebo jest błękitne, a murawa

zielona! — Gdybyż słońce zawsze świeciło, gdyby zawsze było lato, ano, owszem... Ale przecież w tej naszej budzie w Rivo Torto, jak deszcz pada, wszędzie się na głowę leje! — To dlatego, byśmy potem lepiej oceniali naszego drogiego brata słońce! — roześmiał się Franciszek.

Wieczne teraz Franciszka

Franciszka nie dręczę ani widma przeszłości, ani — przyszłości, ponieważ na scenie jego wiary nie ma przeszłości i przyszłości: wszędzie i zawsze jest tylko i wyłącznie wieczne t e r a z . Każdy aktor, który pojawia się na scenie wiary Franciszka, staje się bratem lub siostrą. Bratem jest nie tylko zając, lecz także wilk i szatan, siostrą — nie tylko goszcząca go gospodyni, lecz również śmierć. Świat Franciszka wypełniony jest po same brzegi buberowskim Ty, a czyż nie jest tak, że „dopóki rozpościera się nade mną niebo Ty, podmuchy przyczynowości kucają u moich stóp, a wir przeznaczenia uspokaja się”. Franciszek zna tylko Ty, a przecież — zapewnia Buber —

[. . .] relacja z Ty jest bezpośrednia. Między Ja i Ty nie ma żadnej pojęciowości, żadnej wiedzy, żadnej fantazji, a sama pamięć zmienia się, kiedy przechodzi od szczegółu do całości. Między Ja i Ty nie ma celu, nie ma pożądania czy antycypacji.

Kiedy jestem w świecie Ty, niemożliwe staje się myślenie zarówno o jego początku, jak i końcu. Dlatego w świecie Ty nie ma przeszłości i przyszłości: jest tylko terażniejszość. Spotkanie z Ty rozkwita w świetle nadziei braku jego końca; do spotkania z Ono dochodzi z mojej inicjatywy tylko wtedy, gdy jestem pewien, że skończy się ono możliwie wcześniej.

Terażniejszość prawdziwa i wypełniona — podkreśla Buber — istnieje tylko wtedy, gdy istnieje obecność, spotkanie, relacja. Terażniejszość powstaje tylko dzięki temu, że obecne staje się Ty. Ja podstawowego słowa Ja — Ono, a więc Ja, naprzeciw którego nie ucieleśnia się Ty, lecz które otoczone jest wielością „treści”, nie ma terażniejszości, ma tylko przeszłość. Inaczej mówiąc: zadowolając się rzeczami, których doświadcza i użytkuje, człowiek żyje w przeszłości, a jego chwila pozbawiona jest obecności. Ma tylko przedmioty, przedmioty zaś należą do przeszłości. Terażniejszość nie jest czymś zwiwnym i przemijającym, to coś, co czeka, i jest obecne naprzeciw nas. Przedmiot nie jest trwaniem, lecz bezruchem, zatrzymaniem się, zaprzestaniem, usztywnieniem, przerwaniem, brakiem relacji, brakiem obecności. Istoty przeżywa się w terażniejszości, przedmioty w przeszłości.

Otóż to. W świecie Franciszka nie ma przedmiotów, są tylko istoty. Dlatego Franciszek nie żyje na kredyt i dlatego nie grozi mu uciążliwa konieczność spłacania rat; tym bardziej nie kumuluje kapitału życia, od którego mógłby kiedyś odcinać kupony. Ponieważ t e r a z i z m Franciszka jest

wszechobecny i w gruncie rzeczy także wszechmocny, Franciszek wygrywa konfrontację zarówno z papieżem, jak i sułtanem. Ich terażniejszość szamoce się bowiem bezradnie pomiędzy przeszłością, cierpiącą na brak bezsenności, a skazaną na nią przyszłością; natomiast terażniejszość Franciszka wciąż obie pochłania i znosi, ponieważ — wyjaśnia zdradcy Janowi — „[N]niby namiot okrywa nas Boża przytomność. I nie masz chyba, bracie, na ziemi miejsca, gdzie by chrześcijanin musiał się czuć osamotniony!”. Na scenie wiary Franciszka chrześcijanin nie zna samotności; nie musi zatem, a właściwie nie jest mu dane wymiotować jej trującymi myślami, które nieco mniej niż pięćset lat później Pascal, kolejny gigant chrześcijańskiej wyobraźni, będzie leczył pracą lub rozrywką.

Przyjrzyjmy się scenie, na której Franciszek pracuje wraz z współpracownikami nad regułą zakonu, ponieważ ma być ona niebawem zaprezentowana samemu papieżowi Innocentemu.

Brat Eliasz... podjął dalej czytanie: ... A najważniejszym przykazaniem braci, aby się społecznie miłowali. Po tym poznają, żeście prawi uczniowie Pana, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu. A kiedy człowiek, który przyjdzie ku braciom, przyjaciel czy wróg, choćby był złodziej lub łotr, ma być przyjęty od nich serdecznie jak swój... Brat Eliasz znów odłożył pergamin. — I na to Ojciec święty się nie zgodzi — zauważył. — Czyste szaleństwo! Więc gdyby przyszedł znany mężobójca, zbrodniarz, też go mamy przyjąć i może jeszcze ugościć? — Tak — stwierdził stanowczo Franciszek. — Bo któż wie, czy nie uda się nakłonić go do pokuty? — On tymczasem ograbi braci i... — Z czego ograbi? Cóż nam uczyni? Śmierci żaden z nas się nie lęka. Siostra to nasza. Ograbić można tylko takiego, któregoś coś posiada. My nic nie mamy. Ani nam na duszy nie zaszkodzi, bo tak tuszę, że łącniej brat namówi zbója do miłości Chrystusowej niżli zbój brata do zbójckiego rzemiosła. A cóż za pożytek z nas będzie, jeśli z samymi dobrymi przestawac będziemy?

Choć śmierć jest Franciszkowi siostrą, jest mu zarazem bratem — a może raczej osobą towarzyszącą — życie.

Coście za jedni? — Posłowie największego Pana! — odkrzyknął Franciszek. Ogarnął go nowy przypływ wesela. Nie mogąc się pohamować, chwycił brata Leona za rękę i pobiegli obaj z górki pędem jak dzieci. — Jacyśmy szczęśliwi, bracie Leonie, jacy szczęśliwi! — Powiadają, że niedobrze chwalić się szczęściem — zaniepokoił się Leon. — Śmieję się z tego, bracie! Cóż może nas spotkać? Opieki Pana naszego nikt nam nie odbierze.

Choć życie jest Franciszkowi bratem, obce jest mu zarazem przywiązanie do życia. Leopold Staff trafnie zauważa, że

[...] wszystkie filozofie urodziły się ze spojrzenia utkwionego w niepocieszonej śmierci. W istocie uczą one: jak chcieć, czego się nie chce. Gdzie śmierć istnieje, tam pada od niej wielki cień na życie. Lecz dla tego [czyli dla

Franciszka — R.K.], kto nierozzerwalnym węzłem miłości zjednoczył się ze światem i bytem, śmierć nie istnieje.

Smakowanie zgrzyzot życia

W książce znajdujemy wymowną scenę, w której Franciszek uczestniczy w uczcie. Czytamy:

Gracjan Frangipani był niezadowolony, że żona sprowadziła do sali jadalnej tego oberwańca. Wprawdzie ludzie dużo o nim gadają, sam Ojciec święty podobno bardzo poważa, niemniej cudak to i tyle. Błazen, ale niezabawny. A już śmieszne, co niektórzy bają, że święty! Ładny święty! Wystarczy na niego spojrzeć teraz, jak zajada... Święci byli wstrzemięźliwi. Franciszek zjadł istotnie ze smakiem. Odmówił miejsca przy stole, tłumacząc się, że odwykł od siedzenia na ławie, i usiadł z talerzem w ręku na ziemi przy kominie.

Pani domu nie kryje radości z wizyty Franciszka:

— Myślałam, że zapomnieliście o obietnicy i nie odwiedzicie nas przed wyjazdem. Franciszek odpowiada: O przyjeździe do was pamiętałem... Nie sądziłem co prawda, że trafię na taką biesiadę... — Czy to was gniewa? — zapytała z niepokojem. Oczy zaokrągliły mu się ze zdziwienia. — Gniewa? Dlaczego? To takie doskonałe, co jemy. Nigdy czegoś podobnego nie jadłem. Jak się to robi? — Cieszę się, że wam smakuje. To jest pianka z białek, orzechy tłuczone i miód, prażone razem... — Bardzo, bardzo dobre... Pan nasz w swoim miłosierdziu dał nam tyle zmysłów dla odczuwania radości! Oczywiście... Przecież patrzeć na góry albo drzewa, albo niebo, to nieustająca uciecha... Słuch... zwłaszcza gdy się przydarzy słyszeć muzykę albo wodę pluskającą. Powonienie... woń kwiatów. No i smak. Jeść taką rzecz... To przecie cudowne. Biesiadnicy uśmiechali się patrząc na ten naiwny zachwyty. Jakuba dołożyła gościowi przysmaku. — Jedzcie zatem, skoro dobre. Podziękował jej wesoło. Rozejrzał się, a sądząc, że nikt nań nie patrzy, sięgnął ręką za siebie do zimnego popieliska, wziął garść popiołu i dosypał do potrawy, wymieszał starannie i jadł dalej, chwając głośno i cmokając. — I taki żarłok, łakomczuch, ma zachowanie u Ojca świętego! — mruczał pan domu niechętnie. Lecz Jakuba zauważyła poprzedni ruch gościa. — Dlaczego dosypaliście popiołu do pianki, bracie Franciszku? — zapytała wlepiając weń swoje szczere oczy. Zmieszał się, przeraził, zawstydził, zacerwienił. Nie wiedział, co odrzec. Wyjąkał: — Brat popiół jest czysty... — Cha, cha! — roześmiał się głośno Frangipani. — Cha, cha! To ci dopiero przyprawa!

Dlaczego Franciszek przyprawił deser popiołem? Co przeraziło go w jego słodczy? Franciszek — powtórzę — kocha życie doczesne, ale zarazem nieustannie zdradza je z nadzieją na życie wieczne. Nugat jest niebezpieczny, ponieważ jego smakowanie może tę nadzieję zagłuszyć, stłumić lub nawet uczynić bezzębną, zatem i bezradną wobec licznych, nieco twardszych aspek-

tów i fragmentów doczesnego życia. Franciszek znał bardzo dobrze nauki *Nowego Testamentu*. Pamiętał o ostrzeżeniu św. Jana, że „pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha tego życia nie pochodzi od Boga, lecz od świata”¹ i dlatego wiąże z nim ludzi najmocniej. Nugat zmieszany z popiołem nie tylko tworzy nastrój życzliwy nagłemu i niespodziewanemu nadejściu końca świata, lecz także — zgodnie z radą św. Piotra — mobilizuje ludzi do jego możliwie radykalnego przyspieszenia.²

Zachwyt jest najwyższym życia usprawiedliwieniem i jego afirmacją. Niewątpliwie znakiem dobroci życia jest radość. — konkluduje Leopold Staff. — Święty Franciszek zdjął klątwę z ziemi, której piękno i świętość Średniowiecze oddało włodarstwu szatana. On ją znowu uświęcił. Stopy jego dotykając ziemi zostawiały po śladzie swym kwiaty tam, gdzie wprzódy dymiły smutne zgliszcza potępienia. On ją całą przytulił do serca. On jest jej świętym i poetą: najświętszym poetą i najpoetyczniejszym świętym. On uświęcił radość i tęsknotę radości. Radość jest dlań najwyższą prawdą.³

Prawdą życia stworzonego przez Boga nie tyle może, ile raczej musi być radość. Trudno nie zgodzić się z Franciszkiem. Nie może wszakże być to radość, która kładłaby się cieniem na nadziei uosabianej przez siostrę śmierć.

Franciszek, jak przystało na przyszłego świętego, nie ma również nadmiernego poczucia własnej wartości. W rozmowie z sułtanem przyznaje:

— Dostojny panie sułtanie, to będzie trudno, bo naprawdę takich marnych i głupich stworzeń jak ja niełatwo znaleźć więcej w obozie! — Domyślam się, że niełatwo. Możesz iść.

Franciszek może odejść, mimo że wciąż obowiązuje rozkaz sułtana, by żaden chrześcijanin nie odszedł żywy ze spotkania z nim. Franciszka nie tylko puszcza wolno. Chce mu także zapłacić za wypełnienie dwóch godzin życia niezwykle rozmową.

Czas mój zazwyczaj powoli się wlecze — stwierdza po pascalowsku, mimo że ten specjalista m.in. od wolnego czasu i rozrywki urodzi się dopiero za czterysta lat — przeto wdzięczny za rozrywkę dam ci złota, ile dźwigniesz. Franciszek podniósł ręce z przestachem. — Złota! Na cóż mi ono, sułtanie? Ja nie potrzebuję złota! — Nie potrzebujesz?! Nie chcesz?! Pierwszy raz widzę takiego giaura!⁴

¹ 1J 2, 16b

² „Jak złodziej zaś przyjdzie dzień Pański... Skoro to wszystko w ten sposób ulegnie zagładzie, to jakimi winniście być wy w świętym postępowaniu i pobożności, g d y o c z e k u j e c i e i staracie się przyspieszyć przyjście dnia Bożego” [wyróżnienie — R.K.] (2P 3, 10-14).

³ Z. Kossak, *Bez oręża*, s. 189-190.

⁴ *Ibidem*, s. 273.

Sułtan raczy żartować. Pierwszy raz w życiu widzi nie „takiego giaura”⁵, lecz takiego człowieka. Nie dlatego jednak, że giaur Franciszek nie chce złota, ale dlatego, że giaur Franciszek złota się boi. Ten strach przed złotem jest nawet najpewniej większy aniżeli wcześniejszy — przed nugatem. Smakowity deser można bowiem przyparzyć popiołem. Tymczasem złoto, jak przystało na metal szlachetny, nie flirtuje ze światem; w przeciwieństwie do zwykłych metali nie kocha się zmysłowo z tlenem. Dlatego ani złota korona, ani złota wagina, ani złoty fallus nie przepoczwarzają się nigdy w rdzę, którą świat wcześniej lub później także przetrawi i wchłonie. Romanse złota ze światem są platoniczne, a zatem i bezdzielne. Złoto nie jest Bogiem, lecz tylko bogiem; mimo to ma odwagę, zwaną niekiedy bezczelnością, jawić się w naszym życiu jako wieczne i niezmiennie: jest ważną częścią świata, zwłaszcza społecznego, duchowego i zarazem — nieco po kartezjańsku — możliwie radykalnie zdystansowane wobec nieszlachetnego pospółstwa świata fizycznego, którym gardzi. Dlatego nie chodzi tylko o strach Franciszka przed złotem, lecz także o lęk i trwogę, które w nim ten szlachetny kruszec budzi. Boimy (czyli: strachamy) się faktów, lękamy i trwożymy — zapowiedzi ich zapowiedzi. Boję się lwa, który nagle pojawił się przede mną i jako żywo żadnego wiersza wtedy nie napiszę ani zdjęcia smartfonem mu nie zrobię; wszakże lękam się, że kiedyś lew w moim życiu się pojawi i dlatego wiersz o tym lęku zaczynam właśnie pisać. Od strachu jesteśmy mniejsi, gdy chodzi o lęk i trwogę, wydaje nam się, że jest raczej inaczej i dlatego — paradoksalnie — coraz częściej musimy szukać pomocy u specjalistów od nadmiaru trwogi i lęku w naszym życiu. A może było jeszcze inaczej? Może Franciszek wiedział nie tylko, że złoto nie jest Bogiem, lecz także — że nie jest ono nawet bogiem. Bo choć prawdą jest, że czyste złoto nie roztwarza się w wodzie ani nie utlenia na powietrzu, nie jest jednak prawdą, że nie współżyje ono nigdy ze światem. Także złoto jest rozpuszalne, gdyż swawolnie oddaje się mieszaninie stężonego kwasu solnego i azotowego, nieprzypadkowo zwanej wodą królewską — łac. *aqua regia* — oraz rozpuszcza w rtęci i zasadowych roztworach cyjanków. Z metalami szlachetnymi jest podobnie, jak ze szlachetnie urodzonymi ludźmi: złoto ma swoją rtęć, arystokraci — swój lud, który od czasu do czasu wskazuje im inne miejsce na drabinie społecznego istnienia. Woda jest królewska, ponieważ potrafi ontologicznie upodlić lub — jak twierdzą inni — ucłowieczyć nawet kruszec charakterystyczny dla władzy królewskiej. Mimo to Franciszek złota się boi?

Franciszek nie boi się brata złota; lęka się raczej swego braku miłości do brata złota. Z jednej strony, złoto to tylko bezużyteczny metal, który nie na-

⁵ Giaur to w książce Zofii Kossak pogardliwe określenie nadawane chrześcijanom przez wyznawców islamu.

daje się ani na nóż do krojenia chleba, ani na brzytwę do podcinania możliwie licznych gardeł, ani tym bardziej na łopatę, którą chcielibyśmy spulchnić glebę. Z drugiej — złoto zaczyna panoszyć się zarówno w tzw. duchowej sferze życia: np. ilustruje za pomocą obrączek wierność małżeńską, jak i w ekonomicznej: choć złoto tak naprawdę nie ma więcej wartości, aniżeli ich ma, wciąż lepiej mieć go więcej niżli mniej. W świecie Franciszka brat złoto jest wiecznym i niezmiennym towarzyszem brata szatana, któremu pomaga znaleźć w człowieku chwile upadku i słabości. Strach jest od nas większy, ale wypełnia tylko konkretne chwile naszego życia; lęk i trwoga, choć najczęściej poczęte przez mnogość konkretnych chwil, uniezależniają się od nich i stają się świadectwem oraz drogą bardziej istotną od całego życia, które nią kroczy. Strach przed złotem nie budzi jednak we Franciszku niechęci do ludzi, którzy ulegają jego powabom. Tym różni się od niego papież Innocenty, któremu „modlitwa nie daje ... ukojenia. Serce przepelnia gorzki żal, niechęć i wzgarda dla ludzi. Marne robactwo! Złoto, władza, żądza, oto ich jedyne bogi; ot, czego im potrzeba!”⁶.

Samotność Franciszka

Postawmy jednak pytanie najważniejsze. Czy Franciszek należy do grona najważniejszych aktorów chrześcijańsko-średniowiecznej wyobraźni? Nawet pytanie najważniejsze nie musi być pytaniem najtrudniejszym. Na pytanie: „Czy Franciszek należy do grona najważniejszych aktorów chrześcijańsko-średniowiecznej wyobraźni?” odpowiedź jest tylko jedna:

Franciszek należy do grona najważniejszych aktorów chrześcijańsko-średniowiecznej wyobraźni i zarazem Franciszek nie należy do grona najważniejszych aktorów chrześcijańsko-średniowiecznej wyobraźni.

Przypomnę, że z faktu, iż bohaterem świata kapitalistycznego jest człowiek bogaty, nie wynika, że statystyczny mieszkaniec tego świata jest człowiekiem bogatym; wynika jedynie, że najczęściej chciałby nim być. Podejrzewam, że na podobną „światopoglądową małodziejność” cierpi także Franciszek, bohater świata wyobraźni wciąż wczesnochrześcijańskiej. Nawet w książce Zofii Kosak jest właściwie człowiekiem bardzo samotnym: im bardziej podziwianym, szanowanym, a także — lekceważonym i pogardzanym, tym bardziej osamotnionym. Franciszek stawia swoim chrześcijańskim braciom i siostrąm poprzeczkę nie tylko za wysoko, lecz także bardzo często w niewłaściwym miejscu życia: nie tam, gdzie się biegnie, lecz raczej przezornie — czołga.

Ojciec Klary, przyszyłej świętej Kościoła, nie kryje niechęci do Franciszka. To pogarda wymieszana z nienawiścią, ponieważ Favarone di Offreduccio,

⁶ *Ibidem*, s. 9.

pan możny i wpływowy, nie może pogodzić się z myślą, że Franciszek odbiera mu córkę.⁷

— Widzieliśmy kiedyś z zamku, jak ten oberwaniec szedł, a urwisy miały za nim końskim nawozem i błotem... Spaćkały go całego... On zasie, zamiast ich rozpedzić, wołał: „Dobrze, dobrze robicie, bo większego hultaja ode mnie ziemia nie nosiła”. I szedł taki uwalany, a chłopaki za nim jak wróble za wroną... Więcem Klarę prędko zawołał i powiadam: „Patrz!” Patrzy, patrzy, zbladła, a lzy jej po licu lecą... Myślicie, Wasza Dostojność, że z obrzydzenia, ze wstydu? Gdzie tam, z zachwytu... z zachwytu... Na turniejowego zwycięzcę milej by nie spoglądała... Jak ja to przetrzymam... Boże!⁸

Favorone, chcąc podkreślić grozę swej egzystencjalnej sytuacji, przywołuje Boga; przyznaje zatem, że wskazujące na Boga słowo zajmuje ważną pozycję w świecie jego językowej wyobraźni, w granicach której rozpaczliwie próbuje zdiagnozować tę sytuację.⁹ Ojciec Klary nie kryje nienawiści do Franciszka:

Tfu! Oberwaniec bez koszuli, na ziemi sypia, trawę jak bydłę jada, pośmiewisko ze siebie czyni... I moja córka... Moja córka... Mieni się na licu, ino o nim wspomnieć... By największe cudactwa wyprawiał, przytwierdza, tak, przytwierdza, że on dobrze czyni, że Chrystus Pan tak rozkazał... Za bohatera, za świętego go uważa!... Umilkł, bo go złość zdławiła. Cierpiał okrutnie w swej dumie i miłości ojcowskiej.¹⁰

Wierzy w Boga, ale tylko dlatego, że nie potrafi w Niego nie wierzyć. Favorone ma na scenie swej wiary — przypomnę — wciąż bardzo mocnego przeciwnika — życie doczesne, jego uroki, blaski, smaki i zapachy. Smakowanie życia to góra, na którą ojciec Klary bezradnie toczy kamień swojego życia. Tymczasem Franciszek w każdej chwili swojego życia rozpoznaje tylko skrzydła. Metafora skrzydeł rzadko spotyka się z metaforą kamienia. Być może nawet jest tak, że nie spotykają się nigdy, a być może jest jeszcze inaczej: zranione skrzydło zachowuje się jak kamień, a raniony kamień, kiedy zamienia się w kawałki, które jedynie pozornie kpią z praw grawitacji to chwilowo przypominają skrzydła.

⁷ Franciszek odebrał Favarone’mu di Offreduccio za życia także młodszą siostrę Klary Katarzynę, przyszłą świętą Agnieszkę, a po jego śmierci również żonę Hortulanę, przyszłą błogosławioną Ortolanę, która jako wdowa wstąpiła do klasztoru św. Damiana.

⁸ *Ibidem*, s. 89-90.

⁹ Zauważmy, że cierpienie Offreduccia nie jest odosobnione w historii zgryzot ludzkiego ducha. Przypomina na przykład cierpienie Ksantypy, która ok. 1600 lat wcześniej nie rozumiała Sokratesa. Ojciec Klary nie pojmuje swojej córki; ta bowiem, obdarzona niezwykłą urodą ciała, rezygnuje z jej mocy, gdyż ta aktywna jest jedynie w doczesnym wymiarze życia; natomiast Ksantypa nie potrafiła pogodzić się z decyzją Sokratesa, który wierność doczesnemu życiu poświęcił roszczeniom filozoficznej prawdy.

¹⁰ *Ibidem*, s. 89.

Warto przypomnieć jeszcze jedną historię. Sultán al-Kamil chce, żeby Franciszek wrócił do obozu chrześcijan. Przewodnikiem okazuje się brat Jan, który niegdyś zdradził Franciszka, gdyż opuścił jego zakonną wspólnotę. Franciszek pyta go o powody tej decyzji:

— Wolałbym nie opowiadać — mruknął Jan niechętnie. ...Może bym nie odszedł, żeby było inaczej... Kazałeś ustawicznie cieszyć się wszystkim i wszystko podziwiać, a tymczasem wszystko wkoło nas było takie szare, biedne, takie pospolite!¹¹

Były brat Jan, który ma odprowadzić Franciszka pod sam obóz chrześcijan i wrócić do sultana, jest przekonany, że wejdzie do obozu wraz z nim i w ten sposób odzyska wolność. Pyta Franciszka:

— Ale nie każesz chyba... mnie? Jan spojrzał w twarz Franciszka z niepokojem. Tamten uśmiechnął się. — Bardzo ci tu było źle? — Piekło, piekło... Boże, co za piekło! — Nie zostaniesz w nim zatem... Drzę, że sultán się rozmyśli, że wyśle za nami pogoń nie widząc mnie powracającego... — Ja powrócę zamiast ciebie, więc pogoni nie wyśle... — Ty?! Za mnie?! — Jeden musi przecież wrócić. Dostyc się nacierpiałeś, bracie. Słusznie ci się wolność należy. — Ja nie chcę, żebyś za mnie zostawał! — krzyknął Jan. — Nie chcę! Dlaczego nie możemy wrócić obaj?! — Bo sultán nam zawierzył. — On to umyślnie zrobił. Widziałem, jak się uśmiechał ten diabeł! — Tym bardziej nie możemy ulec pokusie. — Przecież ty nie możesz zostać! Co poczną bez ciebie bracia?! Ty jesteś potrzebny! A ja... ja też nie mogę. Nie mogę... Gdybyś wiedział! Ta poniewierka, ta nędza, ta ustawiczna praca... Ja bym niedługo oszalał. — Toteż powrócisz do swoich, braciszku. A o mnie się nie troszcz. ...Mnie i tak zbyt dobrze dzieje się na świecie i szczęśliwy będę mogąc trochę pocierpieć dla Pana naszego. Wyuczę się tutejszej mowy i będę o Nim opowiadał... Wszędzie człowiek może być pożyteczny i zadowolony... Jan rozplakał się w głos jak dziecko. — Ja nie chcę! Wracajmy razem! — Sam wiesz, że to niemożliwe.

Z politycznego punktu widzenia sytuacja Franciszka i Jana przedstawia się tak. Ponieważ sultán nie chce śmierci Franciszka, mimo że sam Franciszek śmierci się nie boi, wyznacza chrześcijańskiego niewolnika na stróża jego powrotu do obozu chrześcijan. Niewolnikiem okazuje się były współbrat Jan, który spragniony cudów, zdradził wcześniej Franciszka i przyłączył się do organizatorów tzw. krucjaty dziecięcej. W efekcie stał się pozbawionym prawa nie tylko do szczęścia, lecz także do życia, niewolnikiem sultana. Jako stróż ma Franciszka doprowadzić do chrześcijańskiego świata. Były współbrat zdrajca Jan żyje nadzieją, że w ten sposób wróci do tego świata wraz z Franciszkiem. Franciszek akceptuje pragnienia zdrajcy brata Jana pod jed-

¹¹*Ibidem*, s. 275-276.

nym wszakże warunkiem, że sam wróci zamiast niego do sultana, by w ten sposób stać się jego niewolnikiem. Zdrajca brat Jan nie chce — nie potrafi — jednak tego warunku przyjąć. Zdrajca Jan wie:

... Ucieknę. Franciszkowi nic się złego nie stanie. Będzie się po swojemu uśmiechał w niewoli. Zbity lub sponiewierany, powie, że to dobrze, bo na nic lepszego nie zasłużył. Czyż go nie znam? Zresztą niech się jeno zdoła porozumieć, zaraz pozyska sobie wszystkich. Kto wie, może nawet stary Mahmud dozorca, ponury okrutnik, zmieni się pod jego wpływem? Lecz co poczną bez niego bracia? Bracia?! Co powiedzą, gdy powrócę ja na miejsce Franciszka? Ech, nie potrzebują przecież wiedzieć. Kto im powie? Ja szukać ich nie będę... — postanawiał.¹²

Zdrajca Jan nie ma jednak odwagi po raz drugi zdradzić Franciszka, mimo że za tę zdradę, podobnie zresztą jak to było ze zdradą pierwszą, nie grozi mu żadna kara. Jan troszczy się, a w każdym razie próbuje troszczyć się o swoje życie, a przecież powszechnie wiadomo, że mądrość życia jest sztyta przez życie na miarę wyobraźni życia i dlatego jest tylko jedna: jeśli możesz ratować swoje życie, musisz je ratować. Jan zna tę mądrość życia oraz może uratować własne życie. Tym razem zdradzi jednak mądrość życia, a nie po raz drugi — Franciszka:

... Lecz jeśli sultan zwolni Franciszka pomimo ucieczki Jana, jeżeli spotkają się w Damiecie? Co wtedy? Wiadomo. Franciszek wyciągnie ręce i zawoła serdecznie jak zwykle: Braciszku!... Nie, nie, to nie do zniesienia!¹³

Zdrajca Jan boi się przyszłości, bo wie, że na pewno pojawiłby się w niej Franciszek wraz ze swoją wszechobecną i wszechmocną radością życia. W jej porażającym, bo dla zdecydowanej większości ludzi nieludzkim świetle, Jan może tylko swoje własne życie zdradzić. Nie potrafi sprostać nawet temu spotkaniu, do którego dochodzi wyłącznie w świecie jego schorowanej wyobraźni.

Zakończenie

Nie tylko brat Jan nie zdradził Franciszka. 3 października 1226 r. nie zdradza go także siostra śmierć. Franciszek umiera w wieku ok. 45 lat. Minie czterysta lat i na scenie europejskiej wyobraźni pojawi się kolejny jej wielki aktor i reżyser, który zwolni Boga z konieczności zajmowania się światem i ludzkim życiem. Bóg oczywiście jest, ale bardzo daleko, a właściwie jeszcze dalej. Bohaterami Pascala są ludzie, którzy uczą się żyć na scenie (po)kar-tezańskiej wyobraźni. Ponieważ ich serca są puste, szukają drogi do Boga

¹² *Ibidem*, s. 280.

¹³ *Ibidem*, s. 279.

w świetle beznamiętnych kalkulacji rozumu. Trzysta lat później niejaki Antoine Roquentin, człowiek, któremu nigdy nie uda się przekroczyć granic pewnej powieści, gdyż jest jej głównym bohaterem, żyje już na scenie, na której aktorem nie jest ani Bóg, ani nawet Jego wspomnienie.¹⁴ Ponieważ Antoine nie wie, co to radość, głównym aktorem na scenie jego życia są mdłości. Urodził się ok. 1900 roku. Zatem, jeśli przeżył II wojnę światową, załapał się na smakowanie niekoniecznie mrocznych labiryntów wyobraźni społeczeństwa konsumpcyjnego.

Jest o czym myśleć i jest o czym pisać.

Literatura

- M. Buber, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych*. Wybrał, przełożył i wstęp napisał J. Doktor, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1992.
J. Kmita, *Kultura i poznanie*, PWN, Warszawa 1985.
Kwiatki świętego Franciszka z Asyżu, przekład i wstęp L. Staff, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1959.
Z. Kossak, *Bez oręża*, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1964.
R. Kubicki, *Tylko sztuka obmywa nas z grzechu istnienia?*, „Artluk”, 3, 2012.

Roman Kubicki

Immodest Greatness of the Heart: An Introduction to the Anti-Theory of Culture of St. Francis of Assisi

Abstract

The present paper discusses the system of values that St. Francis of Assisi followed throughout his life. The major source of inspiration is provided by the book by the Polish writer Zofia Kossak, “Blessed Are the Meek,” which is treated it as an important biography of Francis and a vivid picture of his age. The life of Francis shows him to have resembled the Nietzschean superhuman in daring to reject the accepted norms and rules of his time.

Keywords: God, man, brother, sister, love, happiness.

¹⁴ Zob. R. Kubicki, *Tylko sztuka obmywa nas z grzechu istnienia?*, „Artluk”, 3, 2012.